

ROZMOWA SIÓDMA

NIEŁATWE
POCZĄTKI
I (POCZĄTKOWO)
NIECHCIANE
ZADANIE

Chcieliśmy zrozumieć, dlaczego ten człowiek robił tak potworne rzeczy i co się w nim stało, że w ogóle był do tego zdolny. Przecież on się wychował w katolickim domu!

W końcu myśl, która zaczęła w tobie pracować w trakcie twojego pierwszego pobytu w Auschwitz, staje się ciałem. Przyjeżdżasz na dłużej do Polski. Łądujesz w Lublinie na KUL-u. Gdzie zamieszkałeś?
Najpierw trochę nietypowo, bo w żeńskim akademiku. *(śmiech)*

Ksiądz w akademiku dla kobiet?

Tak to wtedy było rozwiązane, że w budynku żeńskiego akademika, na jednym z pięter, były pokoje dla cudzoziemców. Za akademik odpowiadały siostry szarytki. Mieszkałem tam ja i osiemset dziewczyn.

Takiego początku się nie spodziewałem.

Ja też nie! Ale nie trwało to długo. Po pewnym czasie przeniosłem się do konwiktu, czyli specjalnego miejsca, gdzie mieszkają księża studenci.

Jak zapamiętałeś KUL z tamtych czasów?

To była końcówka lat osiemdziesiątych i na uczelni było dość skromnie, a nawet ubogo. Na przykład kiedy poczułeś głód i chciałeś coś zjeść na stołówce, to nie było tak, że od razu mogłeś wejść i zamówić obiad. Brakowało miejsca, więc studenci byli wpuszczani w turach co pół godziny. Często trzeba było

siedzieć na ziemi. W kościele studenckim nie było w ogóle żadnych ławek ani krzeseł.

Problematyczne było też kupowanie podstawowych przedmiotów użytku codziennego. Pamiętam, że w żaden sposób nie mogłem nigdzie zdobyć zwykłego talerza, na którym mógłbym sobie przygotowywać w domu jakieś jedzenie. To samo było z czapką, kiedy zrobiło się zimno i zaczęły mi marznąć uszy. Tak to wyglądało. Stary ład już nie funkcjonował, a nowy jeszcze się nie wykształcił. Na szczęście jednak wokół było dużo życzliwych ludzi, którzy się ze mną dzielili swoimi prywatnymi rzeczami.

**A władze komunistyczne nie utrudniały ci życia?
Cudzoziemiec to potencjalnie niebezpieczny
element zagrażający sypiącemu się systemowi.**

Co miesiąc musiałem się meldować na policji. Ale nie były to jakieś strasznie nieprzyjemne rozmowy. Funkcjonariusze byli uprzejmi.

O co się pytali?

Czy jest mi w Lublinie dobrze, czy pracownicy KUL-u się o mnie troszczą, co mi pokazują, co mówią, kto się mną opiekuje. Za wiele tych spotkań nie miałem, bo trafiłem na moment przełomu. Do Lublina przyjechałem w październiku 1989 roku, miesiąc później padł mur berliński. Pamiętam, że część amerykańskich studentów pojechała zaraz następnego dnia do Berlina i przywiozła sobie na pamiątkę tego historycznego wydarzenia kamienie z rozwalonego muru.

Nie żałowałeś, że w tak ważnym momencie nie byłeś tam, tylko gdzieś na wschodzie Polski?

Absolutnie nie. Zresztą szybko te wielkie wydarzenia przyszły też do Polski. W trakcie mojego pobytu w Lublinie na KUL przyjechał pierwszy kanclerz zjednoczonych Niemiec Helmut Kohl. Pierwotnie miał odwiedzić uczelnię wcześniej, będąc z dłuższą wizytą w Polsce, ale ze względu na wydarzenia w Berlinie musiał nagle wrócić do Niemiec. W Berlinie przemawiał przy zburzonym murze, po czym szybko znów przyjechał do Polski i na lubelskim uniwersytecie wygłosił swoje pierwsze duże oficjalne przemówienie po tym przełomie. Cały świat na to czekał. Kohl mówił o tym, jak ważne dla Niemiec jest zaangażowanie w budowanie zjednoczonej Europy i troska o dobre relacje z sąsiadami. Cieszyłem się, że mogę być świadkiem tego wydarzenia. Po wykładzie, ponieważ byłem niemieckim studentem, zaproszono mnie na obiad z kanclerzem. Tak więc jeśli chodzi o jedzenie, wpadałem ze skrajności w skrajność. Jednego dnia brakowało dla mnie miejsca na stołowie, drugiego jadłem z politykami zmieniającymi historię. *(śmiech)*

Ten początkowy okres w Polsce był dla mnie bardzo ciekawy i intensywny. Nowa rzeczywistość, nowi ludzie, zmiany systemowe i w Niemczech, i tutaj. Jedna rzecz tylko mi się nie podobała: gramatyka języka polskiego. To był koszmar! *(śmiech)*

Słyszę to od wielu ludzi z różnych krajów, którzy mierzają się z nauką naszego języka.

Kiedy tu przyjechałem, nie znałem ani jednego słowa po polsku, więc nie było wesoło.

Mimo trudności się nie poddałeś i dziś mówisz bardzo dobrze.

Bardzo dobrze to za dużo powiedziane. Jak słyszysz, wciąż mam mocny zachodni akcent i często, używając polskich słów, stosuję zasady niemieckiej gramatyki.

Z tym moim kaleczeniem polskiego wiąże się historia, która mocno zapadła mi w pamięć. Jeden ze studentów zaprosił mnie na swój ślub w Łodzi. Mszę odprawiał polski ksiądz, ja byłem w koncelebrze, ale główny celebrans poprosił, żebym to ja poprowadził samą ceremonię, skoro najlepiej znam młodą parę. No to przeczytałem słowa z rytuału, tak jak potrafiłem. Potem na weselu, w późniejszej godzinie, podchmielony ojciec pana młodego stwierdził, że ślub jest chyba nieważny, bo przecież ten niemiecki ksiądz w ogóle nie rozumiał, co sam mówi. Zrobiło mi się przykro, ślub był oczywiście ważny, ale jakaś prawda w tym była. Taki był wówczas poziom mojego operowania waszym językiem.

Ostatecznie udało mi się wygrać tę nierówną walkę, bo byłem zdeterminowany, ale też miałem zróżnicowane i ciekawe możliwości nauki języka.

Na przykład?

Prowadziłem kurs niemieckiego dla polskich studentów. Nie bardzo wiedziałem, jak się do tego zabrać, komunikacja z nimi była dużym wyzwaniem. Ale to mnie mobilizowało i krok po kroku łapałem coraz więcej.

Nie chciałem się zatrzymywać tylko na języku. Szukałem ludzi, którzy mówili po niemiecku i mogli mi pomóc zrozumieć wasz świat, polskie realia, doświadczenia i kulturę. Byli to moi studenci lub wykładowcy, wśród nich znany profesor ksiądz Zygmunt Zieliński, ojciec Leon Dyczewski czy biskup Alfons Nossol, który w tym czasie także wykładał w Lublinie.

I czego się od nich dowiedziałeś?

Najważniejsze było zrozumienie specyfiki polskiej teologii. Przez to, że Kościół w Polsce przez wiele lat funkcjonował w realiach komunizmu i panującego w społeczeństwie ubóstwa, główny nacisk był kładziony na aspekty duszpasterskie, które pomagały ludziom przeżyć te trudne czasy. Kościół był skoncentrowany bardziej na dodawaniu otuchy niż rozwijaniu refleksji teologicznej.

Profesorowie opowiadali mi też o swoich doświadczeniach relacji polsko-niemieckich, o tym, jak trudny jest to temat w Polsce, jak wiele ran pozostaje wciąż otwartych. Mówili, że władze komunistyczne za pomocą propagandy jeszcze podsycały niechęć do Niemiec.

A księży, z którymi mieszkałeś, jak do ciebie podchodzili?

Z dużą ciekawością. Wielu z nich pisało doktoraty i uczyło się niemieckiego. Dlatego niektórzy prosili mnie, żebym ich uczył odprawiać mszę po niemiecku. Jednym z nich był ksiądz Mirosław Kalinowski, obecny rektor KUL-u.

Zorganizowałem raz mszę w intencji pokoju i pojednania w Majdanku. To też była msza po niemiecku, z udziałem polskich księży. Później ktoś mi opowiadał, że mieli przez to problemy ze swoim ojcem duchownym, który zwrócił im uwagę, że liturgia nie jest przestrzenią do nauki języka. Dla nas wszystkich było to jednak bardzo ważne wydarzenie, a dla mnie w pewnym sensie prorocze. Przyszłość pokazała, że modlitwa i szukanie światła w miejscach cierpienia jest jedną z najistotniejszych części mojego powołania.

W Lublinie spędziłeś rok i wróciłeś do Niemiec.

Tak, ale tylko na chwilę. Lublin to był nie tylko czas nauki języka, lecz także okres próby. W trakcie tego roku umocniłem się w przekonaniu, że chcę działać na rzecz pojednania i chcę to robić w waszym kraju. Zmieniła się też sytuacja polityczna, dzięki czemu dłuższy pobyt w Polsce stał się realny.

Gdzie trafiłeś, kiedy ponownie przyjechałeś do Polski?

Najpierw pojechałem do Krakowa do kardynała Macharskiego. Miałem już z nim wcześniej kontakt, wiedziałem, że tematyka pojednania jest mu bliska, no i Oświęcim jest niedaleko od Krakowa. Chciałem żyć w parafii, starać się robić coś na rzecz pokoju i pojednania oraz mieć kontakt z grupami, które odwołują się do Oświęcimia. Taki był wstępny, ogólny plan. Kardynał zaproponował jednak, żebym zrobił doktorat na Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie.

Byłeś zawiedziony takim obrotem spraw?

Zawiedziony to za duże słowo, ale jakoś się nie paliłem do pracy naukowej. Czekając na ostateczną decyzję Macharskiego, pojechałem do Oświęcimia, do parafii, której proboszczem był znany mi już wcześniej z Brzezinki ksiądz Jerzy Brońka. Przyjechałem tam 3 października – to jest dzień zjednoczenia Niemiec! – a następnego dnia przy śniadaniu proboszcz mnie poinformował, że w nocy dzwonił kardynał i mam pisać doktorat. Tłumaczył mi to w taki sposób, że muszę mieć jakieś sensowne zajęcie, robić coś takiego, co dla ludzi będzie zrozumiałe. Wiesz, niby byłem po tym rocznym kursie języka polskiego, ale wciąż byłem początkujący i miałem problemy ze swobodną komunikacją. Istniała obawa, że jeśli nie zajmę się

niczym konkretnym, ludzie zaczną myśleć i gadać: co to ma być, przyjechał budować pokój, a siedzi i nic nie robi.

Dziś uważam, że ta decyzja była mądra. To było pięć lat, których się zupełnie nie spodziewałem, ale jestem za nie wdzięczny.

Postawiłeś jednak dwa warunki.

Powiedziałem, że chcę mieszkać u progu Auschwitz, a pracę też będę pisał tylko na temat związany z tym miejscem.

Ruszyłeś ze wstępną pracą naukową, równocześnie zaczęło się normalne życie na parafii.

Początki nie były łatwe. Z jednej strony wciąż czułem barierę językową, na przykład siedząc przy stole na plebanii z innymi księżmi, po prostu niewiele rozumiałem i sam nie potrafiłem dobrze wyartykułować swoich myśli. Byłem jak niemowlę, które chce coś zakomunikować, ale nie umie. Z drugiej strony czułem się trochę wyobcowany, bo ich codzienne problemy były dla mnie bardzo odległe. Ja starałem się wgłębiać w tematykę Auschwitz, a oni żyli czymś zupełnie innym. Dla nich ważna była codzienność parafii, katecheza, szkoła. Czułem się niekomfortowo również dlatego, że nie chciałem co chwila przy obiedzie poruszać kwestii związanych z obozem, które są bardzo trudne. Jednak księża starali się być dla mnie życzliwi, uczyli mnie różnych słów, których nie było w słownikach, a mogły mi się przydać w codziennych kontaktach z parafianami.

Na uczelni też otrzymywałem wsparcie. Jeśli chodzi o wyciąganie dłoni do delikatnie zagubionego niemieckiego studenta, najdalej szedł ksiądz Tischner, który dawał mi piątki, na które zupełnie nie zasługiwałem. Mówił, że to ocena na zachętę, „ku przyszłości”. *(śmiech)*

A jak odbierali obecność niemieckiego księdza parafianie?

Na wstępie dostałem duży kredyt zaufania. Ludzie ufali proboszczowi, on ufał mnie, więc automatycznie mnie też obdarzono zaufaniem. Na mszach po prostu byłem, nie głosiłem kazań, ale za to czasami po liturgii zostawałem nieco dłużej w kościele na samotnej modlitwie w ciszy. Później się dowiedziałem, że to też wzbudziło sympatię i życzliwość wiernych. Skoro ksiądz się modli, to znaczy, że jest pobożny, więc warto dać mu szansę.

Któregoś razu słyszałem, jak starsza kobieta powiedziała do kościelnego: „Ten ksiądz się dużo modli. To dobrze, bo jako Niemiec powinien tu się dużo modlić”. To mnie zaskoczyło, ponieważ ja się modliłem za ofiary, o pokój i o to, żebym potrafił wypełnić swoje zadanie. Ale pomyślałem sobie: tak, ma rację.

Zdarzało się, że księża pletli jakieś głupoty przy stole w trakcie spotkań i posiłków. Proboszcz mnie wtedy za to przepraszał, ale ja nawet nie wiem, co oni mówili.

Starłem się modlić polskim brewiarzem. Rozumiałem może z dziesięć procent tego, co czytałem, ale mówiłem sobie, że najważniejszy jest czas spędzony z Panem. Liczy się to, że jesteśmy razem, a nie to, ile słów rozumiem. Dziś już rozumiem wszystko.

Jakie obowiązki miałeś w parafii w tych pierwszych latach?

Nie miałem przydzielonej stałej pracy duszpasterskiej, ale poznałem trochę lokalną oazę. Udało mi się też zorganizować wyjazd na Światowe Dni Młodzieży w Kolonii w 2005 roku. Pojechał sto młodych osób z Oświęcimia. To był chyba mój największy sukces w pracy z młodzieżą w tamtym okresie.

Przez pierwsze trzy lata chodziłem z proboszczem po kołędzie. Chciałem w ten sposób lepiej poznać parafian. Dzięki temu doświadczyłem dużej różnorodności polskiego katolicyzmu. Zauważyłem też, że mimo skromnych środków ludzie potrafią pięknie urządzać swoje mieszkania. Ten kontrast często rzucał mi się w oczy – na zewnątrz szare, brzydkie budynki, a w środku bardzo zadbane wnętrza. Mam dobre wspomnienia z tych wizyt. Byłem zdziwiony, ile można się dowiedzieć i ile spraw omówić w tak krótkim czasie. Takich kołęd w Niemczech nie ma.

Raz w pewnej rodzinie, w której żyły w jednym mieszkaniu trzy pokolenia, nagle najstarsza osoba, babcia, wybuchła i wyrzuciła z siebie, co przeżyła podczas wojny. Opowiadała, jacy straszni byli Niemcy, jak śmierdziało palenie zwłok, jak dziewczyny się bały. Jej krewnym było bardzo przykro i przepraszali mnie, bo wiedzieli, że przecież nie brałem w tym wszystkim udziału, ale ja ją rozumiem. Byłem pierwszym Niemcem, którego spotkała od wojny. Nasze spotkanie uruchomiło w niej traumatyczne wspomnienia. Dzieci i wnuki próbowały ją powstrzymać, żeby już nie wylewała tej całej złości na mnie, jednak ja chciałem jej wysłuchać.

To coś dało?

Tak. Podczas tego spotkania zostało rozładowane największe napięcie. Później udało nam się zbudować naprawdę serdeczną relację.

A czemu przestałeś chodzić po kołędzie?

Pierwszy powód był taki, że coraz więcej czasu zajmowała mi praca nad doktoratem. Ale był jeszcze drugi. Jak przychodziliśmy i ludzie widzieli dwóch księży, to pod koniec wizyty

przygotowywali dwie koperty, a ja nie chciałem od ludzi pieniędzy. Zależało mi na budowaniu z nimi relacji, byciu dla nich.

Udało ci się to?

Na pewno nie ze wszystkimi, ale z częścią tak. Któregoś razu szedłem ulicą ze Staszkiem Krajewskim, polskim filozofem żydowskiego pochodzenia. Przyjechał wtedy do Oświęcimia na uroczystości związane z obchodami rocznicy wyzwolenia obozu. I ponoć pewna kobieta, mijając nas, powiedziała: „Ooo, to nasz ksiądz!”. Na Staszku to zrobiło duże wrażenie, że tak o mnie mówią. Sam bym tego pewnie nie zapamiętał, ale dla niego to było coś ważnego i symbolicznego i później kilka razy mi o tym przypominał.

Mówisz, że twoim podstawowym obowiązkiem i obszarem zaangażowania w tych pierwszych latach była praca naukowa. Wróćmy więc do tego wątku. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem twoją pracę doktorską o Rudolffie Hössie, przyznam, pomyślałem sobie, że ja, będąc Niemcem, chyba bym się nie odważył na taki temat.

To, żebyśmy zajęli się postacią komendanta, zaproponował mi ksiądz profesor Adam Kubiś. Ja bym tego nie wymyślił, bo zależało mi, żeby być blisko ofiar, a nie zajmować się sprawcami. Miałem jednak do niego zaufanie, więc w to wszedłem. A on został moim promotorem.

Dlaczego ksiądz Kubiś zaproponował taki właśnie temat?

Zaraz po wojnie, będąc młodym księdzem, pracował w Oświęcimiu. Jak wspominał, wtedy zapach obozu unosił się wciąż

w powietrzu. Później posłano go do Wadowic, a to właśnie w tym mieście siedział w więzieniu Rudolf Höss. Tam mój późniejszy promotor od poznanych ludzi usłyszał opowieść, że Höss w trakcie odsiadki się wypowiadał. Dlatego kiedy pojawiłem się ja, młody niemiecki ksiądz, profesor Kubiś pomyślał, że będę właściwą osobą do zbadania historii komendanta i próby jej zrozumienia z punktu widzenia teologicznego i duchowego.

Wcześniej takich prób nie podejmowano?

Była dostępna autobiografia Rudolfa Hössa, ale to było źródło historyczne, napisane z punktu widzenia sprawcy. Nam chodziło o to, żeby wejść w ten temat głębiej. Chcieliśmy zrozumieć, dlaczego ten człowiek robił tak potworne rzeczy, co go do tego popchnęło i co się w nim stało, że w ogóle był do tego zdolny. Przecież on się wychował w katolickim domu! Ważne też dla nas było, żeby spojrzeć na byłego komendanta i szerzej na Auschwitz z punktu widzenia ofiar.

Wiedziałem, że aby to dobrze zrobić, powinienem najpierw wykonać porządną pracę u podstaw, poznać jak najwięcej faktów. Na tym skupiłem się w swojej pracy licencjackiej, która była pierwszym etapem, jaki formalnie musiałem przejść przed doktoratem. Już w licencjacie starałem się na biografie Hössa patrzeć z punktu widzenia wiary. Krok po kroku czytałem jego zapiski i analizowałem je pod kątem teologicznym i duchowym. Późniejszy doktorat był kontynuacją tej pracy.

Po ukończeniu licencjatu zacząłeś podróżować, żeby jeszcze bardziej zgłębiać temat.

Chciałem najpierw jak najlepiej poznać fakty. Udało mi się odszukać wiele różnych dokumentów dotyczących obozu,

a także zapisy przesłuchań komendanta po aresztowaniu oraz świadectwa byłych więźniów. To był bardzo obszerny materiał, którego wcześniej nikt systematycznie nie badał. Większość źródeł historycznych do swojej pracy znalazłem w Archiwum Państwowego Muzeum Byłego Niemieckiego Obozu Zagłady Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu. Jeździłem też do archiwów w Warszawie i w Niemczech.

Dwa razy w semestrze letnim studiowałem we Fryburgu u profesora Bernharda Caspera, który był filozofem religii specjalizującym się w żydowskiej filozofii dialogu. On pomagał mi w przestrzeni teologicznej. To był pomysł profesora Kubisia, żebym współpracował też z teologiem w Niemczech.

Dlaczego mu na tym zależało?

Miał świadomość problemów polskiej teologii, która – jak już wspominaliśmy – w okresie komunizmu koncentrowała się przede wszystkim na wymiarze duszpasterskim. Uważał, że poznanie niemieckiej perspektywy teologicznej, bardziej rozwiniętej na poziomie systematycznego myślenia, może być dużą wartością w naszej pracy. I miał rację. Profesor Casper był bardzo wymagający, ale też ogromnie mi pomógł.

Dzięki pracy poznawałeś też coraz lepiej muzeum działające na terenie byłego obozu.

Dużo przesiadywałem w archiwach muzealnych, więc siłą rzeczy poznawałem ludzi i całe środowisko. A kiedy usłyszałem o możliwości zrobienia kursu na przewodnika, od razu pomyślałem, że to jest coś dla mnie. Nie dlatego, że chciałem być przewodnikiem, tylko żeby jeszcze lepiej zrozumieć Auschwitz.

To miejsce i postać komendanta obozu zagłady mają w sobie mnóstwo mroku, niosą potężny ciężar. Jak wpływało na Ciebie zajmowanie się codziennie tak trudną tematyką?

Materiały poznawałem powoli. Dawałem sobie czas na przetrawienie wszystkich strasznych opisów, które czytałem. Dużo się też modliłem. To pomagało mi zachować spokój i nie zapominać, po co to wszystko robię.

No właśnie, po co to robiłeś? Powiedziałaś, jaka była motywacja promotora, ale jaka była twoja?

Na początku wstępu do doktoratu napisałem, że praca ta wyniknęła z mojego pragnienia, żebym jako Niemiec „po Auschwitz” mógł się jakoś przyczynić do sprawy pokoju.

Praca nad doktoratem wpisywała się w moją najgłębiej rozumianą misję. Przyjechałem do Polski, do Oświęcimia, żeby na miarę swoich możliwości przyczynić się do pojednania. Napisałem tę pracę, żeby na podstawie pamięci o czasie, który nas rozdzielił, pomóc innym budować przyszłość, która nas łączy. Z niezmierną grozą Auschwitz nie uporamy się nigdy, ale to wielkie zło składało się z wielu konkretnych, małych kroków zła. Jeżeli chcemy być odpowiedzialni za przyszłość, musimy starać się poznać błędy przeszłości, zrozumieć i ocenić je, aby się nie powtórzyły.

Jak mówi Marian Turski: „Auschwitz nie spadło z nieba”.

No właśnie. Pisałem więc tę pracę w poczuciu odpowiedzialności wobec wczorajszych i potencjalnych jutrzejszych ofiar. Jeśli takie zło wydarzyło się raz, to niestety może się wydarzyć ponownie.

Ponieważ jestem człowiekiem wierzącym, dodatkowo stawiłem sobie pytanie, czy światło wiary może rozjaśnić ciemności nawet nad tak wielkim złem. I jakie wnioski możemy z tego wszystkiego wyciągnąć. Zastanawiałem się też nad swoją rolą jako członka Kościoła. Jak w tym kontekście umiejscowić takie kategorie jak przebaczenie, sprawiedliwość i Boże miłosierdzie?

Nie bałeś się, że możesz w tych swoich poszukiwaniach i wnioskach zostać niezrozumiany?

Oczywiście, że się bałem. Szczególnie tego, jak na moją pracę zareagują byli więźniowie, rodziny ofiar, środowiska żydowskie. Wiedziałem, że w osobach, które mnie nie znają i nie wiedzą, jakie mam intencje, moje pochodzenie może budzić podejrzliwość i nie sprzyjać budowaniu zaufania.

Co pamiętasz z momentu obrony doktoratu?

Niewiele, bo byłem bardzo zestresowany. Obrona miała miejsce w przededniu jubileuszu sześćsetlecia Wydziału Teologicznego w Krakowie, a praca została oceniona *summa cum laude*, z wyróżnieniem. Obecni byli mój tata i brat (mama już nie żyła), profesorowie Adam Kubiś i Tadeusz Łukaszuk OSP-PE z Krakowa, Bernhard Casper i Klaus Kienzler z Niemiec, kardynał Franciszek Macharski, biskup Alfons Nossol, konsul generalny w Krakowie Laurids Hölscher z żoną Elżbietą, mój proboszcz z Oświęcimia Jerzy Brońka, były więzień Tadeusz Szymański z żoną, dwóch reprezentantów Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, Stefan Wilkanowicz – redaktor miesięcznika „Znak” i wiceprezydent Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej, Henryk Halkowski ze Stowarzyszenia Festiwal Kultury Żydowskiej w Krakowie i jeszcze kilka

innych osób. To było duże wydarzenie o dużym symbolicznym znaczeniu, bo byłem pierwszym niemieckim doktorantem po wojnie na katolickiej uczelni w Krakowie.

Po obronie pojechałem na dwa tygodnie na urlop do kuzyna, żeby odciąć się od wszystkiego i odpocząć w bezpiecznym miejscu. Te wszystkie lata mierzenia się z tak ciężkim tematem i napięcia emocjonalne, które temu towarzyszyły, bardzo mnie wyczerpały.

Twój doktorat został wydany jako książka, stał się powszechnie dostępny. Jakie wywołał reakcje? Twoje obawy się spełniły?

Reakcje były różne. W Polsce na ogół bardzo pozytywne. Na spotkaniu na Akademii Katolickiej w Berlinie doszło do nieporozumienia. Wydawca książki, robiąc wprowadzenie, powiedział, że mówi ona o miłości Boga do sprawcy Auschwitz, który pod koniec życia się wypowiadał. Mocno mnie to zdenerwowało, bo prosiłem go, żeby nie upraszczał. Mój doktorat nie jest o tym, lecz o odpowiedzialności wobec ofiar Auschwitz.

Po tym spotkaniu dostałem kilka pozytywnych wiadomości z wyrazami wdzięczności, ale pojawiła się też recenzja, w której autor napisał, że robienie promocji takiej książki jest skandalem. Dla mnie to był szok. Ktoś mi tę recenzję wysłał i tak mnie to sponiewierało, że przez trzy dni nie byłem w stanie nic zrobić. Musiałem odwołać zaplanowane spotkania, bo nie mogłem się na niczym skupić.

A to jeszcze nie był koniec.

Kolejnym trudnym momentem było pojawienie się artykułu, który kończył się słowami, że mój doktorat jest pod każdym względem straszny.

Mój ojciec pokazał mi też inny tekst, zamieszczony w poważnej niemieckiej gazecie, w którym jeden z biskupów pomocniczych tłumaczył, że nie wypada pisać w ten sposób, jak napisałem, na temat spowiedzi komendanta Auschwitz. Osobiście nigdy nic od niego nie usłyszałem. Skoro więc nie pisał do mnie, nie odpowiadałem.

A reagowałeś jakoś na inne mocne opinie?

Nie. Zapoznawałem się z nimi dobrze i widziałem, że piszące je osoby albo nie czytały wnikliwie mojej pracy, albo przypisywały mi złe intencje. A ja wiedziałem, że takich nie mam.

Ale były też pozytywne reakcje?

Tak. Najbardziej ucieszyłem się z dwóch. Pierwszą była nagroda Człowiek Pojednania 2000 – tytuł przyznawany przez Polską Radę Chrześcijan i Żydów. Nominowali mnie do niego młodzi studenci, którzy poznali mnie na rekolekcjach w Oświęcimiu. Druga polegała na tym, że moją pracą zainteresowało się Muzeum Auschwitz. Od 2013 roku do dziś moja książka-doktorat jest w nim sprzedawana. Także w Yad Vashem w Jerozolimie została dobrze przyjęta.

Kiedy ją czytałem, byłem pod wielkim wrażeniem. Myślę, że to jedna z najodważniejszych refleksji nad tym, co się wydarzyło za ogrodzeniami obozu. Jak widać z naszej rozmowy, wywoływała skrajne reakcje. To dobry moment, żebyśmy zrobili krok w głąb i dowiedzieli się, co w niej napisałeś, i poznali mroczno-dramatyczną historię Rudolfa Hössa.

